Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 22. Sierpnia 1909 r. Nr. 34.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli“ w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Stara historya.

Koło polskie w parlamencie berlińskim ma teraz do walczenia z niektórymi dziennikami, napadającemi na nie za stanowisko w sprawie nowych podatków. Przypatrzmy się tej historyi, bo naprawdę ciekawa.

Oto jak czytelnikom wiadomo z poprzednich numerów, kanclerz Buelow wniósł do parlamentu przedłożenie o nowych ustawach podatkowych. Rząd zaproponował cały szereg różnych obciążeń, między innemi podatek spadkowy i wiele podatków pośrednich, konsumcyjnych. Uchwalić je miał blok konserwatywno-liberalny. Centrum katolickie postanowiło skorzystać ze sposobności aby obalić ks. Buelewa i zjednało w tym celu Koło polskie które niczego więcej pragnąć nie mogło, jak obalenia „kanclerza wywłaszczenia“. Ks. Buelow miał tak słabą większość, że głosy polaków rozstrzygały.

Polacy nie mieli żadnej przyczyny, aby kanclerza ocalać, wszystkie aby go obalić. Gdy więc nadarzyła się tak dobra sposobność, złączyli się z centrowcami, do których przyłączyła się także część konserwatystów i odrzucono projekty rządowe, a natomiast uchwalono inne, za któremi musiało głosować naturalnie i Koło polskie, związawszy się sojuszem z innemi stronnictwami dla obalenia kanclerza. Uchwalone podatki obciążają ludność znacznie mniej, niżeli poprzednio przez rząd proponowane. Mimo to, i mimo że głosy polskie obaliły znienawidzonego kanclerza Buelowa, największego po Bismarku prześladowcę Polaków — niektóre gazety tamtejsze, zwłaszcza zestosunkowany z narodową demokracyą „Kuryer Poznański“, uznały za właściwe atakować Koło polskie. Zadaniem tych gazet, Koło nie powinno było głosować za żadnym podatkiem.

Kompania ta wywołała odpowiedzi ze strony Koła i gazetek rozumnych. Pos. Napieralski, znako-

mity polityk, słynny działacz na Śląsku, któremu zawdzięczamy nieomal w zupełności odpolszczenie Śląska, ogłosił szereg artykułów, w których wyjaśnia, że Koło musiało tak postąpić jak postąpiło. Wrzawa mimo to nie ustaje i kilka gazetek ciągle jeszcze upiera się że one są mądrzejsze, jak całe Koło polskie. A głównym ich argumentem jest to, że wyborcy woleliby, aby nie było żadnych podatków.

Na to chcielibyśmy właśnie zwrócić uwagę. Powiemy otwarcie, że nas takie wystąpienie niesłychanie zdumiało. Nie dla tego, abyśmy przypuszczali, że w Prusiech nie ma niemądrych redaktorów, ale dla tego, że sądziliśmy, iż wyborcy tamtejsi są jeszcze więcej oświeceni wiedzą. Gdyby bowiem takimi byli, to dziennik piszący takie głupstwa nie powinienby mieć na drugi dzień żadnego prenumeratora, bo za swoje pieniądze nikt nie chce przecież czytać nonsensów? A nonsensem jest powiedzieć: wyborcy nie chcą żadnych podatków. Oczywiście, że nikomu nie jest miło podatki płacić, ale każdy oświecony człowiek wie, że bez podatków państwo istnieć by nie mogło, nie byłoby czem opłacić urzędników, nie byłoby skąd dawać na ulepszenie przemysłu, rolnictwa, na obronę kraju — w ogóle na nic by nie było pieniędzy. Czy więc Koło polskie w Berlinie czy w Wiedniu mogłoby przyjść przed wyborców i chwalić się: my nigdy nie damy państwu ani centa, jesteśmy przeciw wszelkim podatkom! Wszak naraziłoby się na odpowiedź: przecież państwo żyć musi, my nie chcemy nadmiernych podatków, nie chcemy być obciążeni, ale wiemy, że bez podatków państwo istnieć nie może i parlament zawsze w końcu podatki uchwali. Więc wy głosujcie za takiemi podatkami, które dla nas lżejsze.

Ale gazetki polskie chcą jeszcze czego innego. One pragnęłyby, aby Koło broń Boże nie przyczyniło się w niczem do życia państwa pruskiego, bo to państwo nas gnębi. Prawda, że jesteśmy uciskani, ale stąd nie wynika, abyśmy byli żywiołem antypaństwowym. Jesteśmy przeciwnikami hakatyzmu i gnębienia, ale państwu musimy oddać, co jego, bo nie możemy narażać się na zarzut, iż jesteśmy wrogami państwa, bo wtedy jeszcze mocniej gnębić nas będą. Prusacy ciągle powtarzają, że Polacy są wrogami państwa — i na tem głównie opierają swoje prześladowania. Czy mamy im dawać broń do ręki?

A powtóre: jeżeli możemy uchwalić podatki mniejsze i mniej ludność obciążające, zamiast większych, proponowanych przez rząd, to czy nie mamy tego uczynić i dla czegóż? Na to gazetki owe nic nie odpowiadają.

W polityce nie zawsze można postępować tak jak by się komuś w kącie podobało. Polityka jest wielką i trudną sztuką. Ot, naprzykład, wszechpolacy w Galicyi, którzy dawniej tak wymyślali na konserwatystów, że ci łączą się z Niemcami przeciw Czechom, teraz sami uprawiają taką właśnie politykę. Wszechpolacy wymyślali konserwatystom, że są stronnictwem rządowem, a teraz nie ma bardziej rządowego stronnictwa jak właśnie oni. Bo przyszedłszy do wpływu muszą iść z rządem, aby dla kraju coś uzyskać, a bezpłodnej opozycyi uprawiać nie mogą.

Znamienne są te ataki na Koło berlińskie. Znamienne zwłaszcza dla tego, że biorą w nich udział także tamtejsi wszechpolacy, a zarzuty przez nich stawiane są czynione ze złą wiarą, bo oni sami, gdyby byli na miejscu Koła, inaczejby postąpić nie mogli.

Dla czego mówimy o tem wszystkiem? Dla tego, że na Kole polskiem w Berlinie i na atakach jakie je spotykają, mamy wyborny przykład **demagogii**. Gazetki napadające na Koło wiedzą, że postąpiło ono dobrze, a atakują je dla zjednania sobie popularności. Wmawiają w wyborców, że dobry poseł powinien być zawsze przeciw podatkom i powinien uprawiać opozycyę dla opozycyi. To się nazywa demagogią. Uprawiają ją w Galicyi także niektóre partye. Z tymi nieraz prowadziliśmy walkę i w przyszłości także prowadzić będziemy. Bo demagogia nie oświeca politycznie ludu, tylko go bałamuci. Nam zaś ludzi zbałamuconych nie potrzeba, tylko mądrych i rozumiejących sprawy publiczne.

Wystawa w Budapeszcie.

Trzeci międzynarodowy kongres mleczarski w Hadze wyraził życzenie, aby z okazyi kongresu mleczarskiego w Budapeszcie mogła się odbyć tam wystawa bydła.

Węgierski minister rolnictwa Darányi powołał ludzi fachowych, z których stworzył komitet Wystawy. Komitet rozporządzał kapitałem 50500 K udzielonych przez rząd, 27500 K przydzielono na nagrody państwowe, zaś 23000 na urządzenie wystawy. Było to zbyt mało na urządzenie poważnej wystawy. Komitet odniósł się więc do większych rolników, oraz do korporacyj i instytucyj z rolnictwem mających styczność, prosząc o poparcie. — Wielu wystawców pobudowało własne pawilony i wzięło cały koszt urządzenia na własny rachunek, zaś instytucye przyczyniły się do powiększenia funduszu na nagrody do 52000 K.

Wystawcom mniejszym i włościanom w tym stanie rzeczy mógł komitet wystawy poczynić różne następstwa i ułatwienia.

Wystawiono: koni 143 sztuk, bydła 1685 sztuk, owiec i kóz 1054 sztuk, świń 944 sztuk;

Z koni zaledwie 39 sztuk było ciepłokrwistych i to przeważnie klacze — reszta były konie zimnokrwiste Ardeny i rasa belgijska.

Z bydła wystawiono 358 sztuk rasy węgierskiej pochodzących przeważnie od mniejszych rolników, jedynie z majątków arcyksięcia Józefa przedstawiono ładny dobór krów rasy węgierskiej i podano ich mleczność, a mianowicie: Roczny udój jednej sztuki wynosił: 1667, 1259, 1180, 2237, 1320, 1285 litrów — były to najlepsze sztuki i prawdopodobnie najmleczniejsze na wystawie. — Znaczy to, że z rasy węgierskiej możemy mieć dobrego wołu roboczego, ale nigdy krowy mlecznej. Poza tem największą ilość wystawiono okazów rasy Simmentalu i Bernerów, bo sztuk 639.

W tym dziale widzimy przeważnie okazy hodowli na większą skalę bardzo dobrze utrzymane w wielu wypadkach tuberkuliną przeszczepiane. — Mleczność średnia około 3000 litrów rocznie.

Ostatni dział składający się z 689 sztuk, to rasa Pincgauska i krzyżunki rozmaitych ras krajowych z rasami importowanemi. Okazy te średnio

dobrze utrzymane, pochodzą przeważnie z gospodarstw średnich. Mleczność najczęściej nie podana. Przypuszczać należy, że ten rodzaj bydła jest najczęstszym w małych gospodarstwach na Węgrzech.

Mimo, że stadniki tak licencyonowane jak i przez rząd subwencyonowane, są przeważnie ras Simmenthalu i Berner, przebija dosyć często u pojedynczych sztuk rasa Pincgauska — pierwotnie dość często na Węgrzech w większych oborach napotykana.

W dziale owiec widzimy dosyć dużą różnorodność. Kierunek produkcyi wełny jest bardzo widoczny. W nierogaciznie widzimy w pierwszym rzędzie około 670 sztuk rasy krajowej „Mangalicza" natomiast bardzo mała ilość, bo zaledwie 270 sztuk ras mięsnych Yorkshire i Beyoshire (czarne). — W hodowli trzody widzi się znaczny postęp, również wkład kapitału na import ras zagranicznych, a także próby krzyżowania tych ras z rasą krajową.

Tak więc przeszliśmy poszczególne grupy wystawy zwierząt.

Trzeba jeszcze poświęcić kilka słów wystawie maszyn rolniczych, które na placu wystawowym półkolem otoczyły wystawę hodowlaną.

Zaraz można zauważyć, że prawie wszystkie firmy zagraniczne używają tak przy samych reklamach, jakoteż godłach jedynie języka węgierskiego. Ten dział wystawy zastosowany do potrzeb krajowych posiadał wielką ilość garniturów młocarnianych, pługów parowych i motorowych, siewników rzędowych, żniwiarek i innych maszyn do kultury zbóż potrzebnych. Duże zainteresowanie budził pług motorowy firmy „Pierwszego węgierskiego Tow. budowy maszyn rolniczych", jako bardzo praktyczny i lekki, albowiem motor pociągowy może być również do innych celów gospodarczych użytym, a o ile informacye podają nadzwyczaj w robocie tani. Pozatem widzimy dużo narzędzi do przeróbki owoców, do kultury i tłoczenia wina i innych narzędzi gospodarczych.

Wygląd wystawy przedstawiał się na zewnątrz imponująco i robił wrażenie poważnej wystawy rolniczej. Po za materyałem hodowlanym, maszynami i narzędziami rolniczemi, nic więcej na tej wystawie nie przedstawiono.

W każdym razie możemy pozazdrościć Węgrom rezultatów, jakie od ostatniej wystawy rolniczej osiągnęli — widać jednak tak tutaj jak i we wszystkich innych działach gospodarstwa krajowego intenzywną pomoc rządu, który rolnikom spieszy zawsze chętnie z pomocą finansową, popierając byt tej klasy społeczeństwa, która tworzy przeważną część ludności Węgier.

Co słychać w Polsce?

Nowe fundusze antypolskie.

Jedna z niemieckich gazet donosi, że mają być w Prusiech uchwalone nowe fundusze na kolonizacyę. Oto co pisze:

„Nie dawniej jak w marcu 1908 zapadła po uciążliwych walkach w sejmie pruskim uchwała, mocą której przyznano komisyi kolonizacyjnej nowy fundusz w wysokości 250 milionów marek i prawo wywłaszczania polskich ziemian, aby przeprowadzić do końca 22 lat temu rozpoczętą, a w gruncie rzeczy zawsze jeszcze nie dość owocną politykę kolonizacyjną w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich. Można było przypuszczać, że na przeciąg pewnego czasu zadość uczyniono wymogom słynnej polityki rządu pruskiego, która wprawdzie kosztowała już wiele pieniędzy i mozołów, ale okrom zaostrzenia różnic narodowościowych i osiedlenia 14 tysięcy familij kolonistów przyniosła nam tylko jeszcze niesławę w oczach świata kulturalnego. Ale zdaje się, że nie dosyć jeszcze ofiar na cele tej polityki, bo berlińska *Korespondencya parlamentarna* rozpowszechnia taką wiadomość:

Nie jest nieprawdopodobnem, że już w najbliższej sesyi sejmu przedłożone będą wnioski dotyczące prac komisyi kolonizacyjnej. Bo w niedługim czasie komisya potrzebować będzie nowych funduszów, a nadto zastanowić się trzeba, jakimi sposobami zapobiedz należy szybkiemu wzrostowi polskiego stanu posiadania na Śląsku i zakupywania dóbr niemieckich przez banki polskie. Zaobserwowano także, iż po uchwaleniu wywłaszczenia, Polacy robią próby w celu pozyskania ziemi na Pomorzu i w Prusach Wschodnich, przez zakupywanie włości od zbankrutowanych Niemców. Państwo ma wielki interes w tem, by sprzeciwić się temu za pomocą środków prawem dozwolonych i przedsięweźmie niebawem kroki w celu poparcia ekonomicznie słabych ziemian niemieckich na Pomorzu, na Śląsku i w Prusach Wschodnich, zapewne przez utworzenie nowych instytucyj kredytowych na wzór gdańskiego Banku Włościańskiego.

„Tu następuje — pisze dalej owe pismo niemieckie — hymn na dotychczasową działalność i rezultaty komisyi i twierdzenie, że brak jedynie funduszów w celu prowadzenia tej polityki w wielkim stylu. Nie można było lepiej udowodnić fiaska dotychczasowej polityki antypolskiej, jak przez te wyznania. Gdyby wiadomości o tych zamiarach rządu miały się potwierdzić i w istocie miał istnieć plan akcyi w wielkim stylu, to należałoby temu położyć *veto* w sposób stanowczy. Przedewszystkiem wszakże nie wiadomo, jak rząd popierany przez centrum, mógłby plan taki przeprowadzić w Izbie".

Półurzędowe pisma pruskie wyliczają wszystko co komisya kolonizacyjna zdziałała dotychczas, mianowicie, o ile rozszerzała w polskich dzielnicach żywioł niemiecki. Donoszą one, że pruska komisya kolonizacyjna wydała na ten cel pół miliarda marek (6.000.000 koron) i za kolosalną tę sumę osiedliła tam do końca roku 1908 15.143 kolonistów, z których 7.800 sprowadzono z rozmaitych stron Niemiec 3.662 z Rosyi i Austryi, podczas gdy 3.681 poprzednio już mieszkało w tych dzielnicach. Wraz z rodzinami i czeladzią niemiecki ten przyrost wynosi ogółem 94.000 głów, jeśli zaś doliczy się jeszcze kupców i rękodzielników niemieckich, którzy się obok nich osiedlili, ogólny przyrost niemczyzny w Księstwie i Prusach Zachodnich dosięgnie 130.000 głów. Ponieważ atoli czwarta część tych ludzi już poprzednio mieszkała w polskich dzielnicach, przeto czysty zysk niemczyzny wynosi tylko około 80.000 głów, czyli jedynie nieco więcej nad 2 procent ogółu ludności tych dzielnic, dochodzącej do 3 i pół miliona.

Wszystkie te „powodzenia“ nie powstrzymają prawdopodobnie jednak Prusaków przed wyrzuceniem nowych milionów na wywłaszczenie. Niech szaleją! Szkodzą tylko sobie!

Zbiory i zasiewy.

Postęp zbiorów i stan zasiewów w zachodniej części kraju z końcem lipca i początkiem sierpnia 1909, według komunikatu Biura statystycznego c. k. Towarzystwa rolniczego w Krakowie — przedstawia się tak:

Pogoda ostatnich dwóch miesięcy zmienna i kapryśna, odznaczająca się częstemi, nagłemi i obfitemi opadami połączonemi z lokalnemi burzami i gradami, dopiero około połowy lipca poprawiła się pozwalając na i tak blisko o dwa tygodnie opóźnione żniwa żyta.

Ten stan pogody najbardziej dał się odczuć powiatom zachodnim górskim i podgórskim. W powiatach zachodnich bowiem ulewy z gradami trwały do 24 lipca prawie, wskutek czego wiele zboża zwaliło się, wiele zostało w górach środkowych wytłukanem, a okopowe okolicami ucierpiały nieco od zgnilizny. Powiaty i części powiatów nizinne, bardziej ku Wiśle i wschodowi położone, mimo stosunkowo przekropnego czasu, w czerwcu zwłaszcza chwilami i okolicami odczuwały brak wilgoci.

Pierwszych 12 dni lipca i u nich zaznaczyły się kilkakrotnie silnemi opadami połączonemi również z lokalnemi gradami, następnie jednak przeważała pogoda, a krótkie ciepłe deszcze wzmocniły nawet wegetacyę zbóż jarych i okopowych, pozwalając na zbiór żyta bez znaczniejszych przeszkód, oraz na zbiory siana w górach. Okolice wschodniego podgórza nawiedziły nawet pod koniec lipca upały, niestety 3 b. m. spadł grad niebywałej wielkości zniszczył w wielu miejscowościach powiatów Gorlice, Biecz, Grybów, Jasło, Strzyżów, Tyczyn zupełnie plony na pniu i wymłócił pozostające na pokosach, tak, że nagła pomoc jest tam konieczną.

Wogóle czas ogromnie zmienny sprowadzał stopniowo szkody i klęski w pojedynczych powiatach i miejscowościach. Powodzie, ulewy, grady, następnie szkodniki zwierzęce i roślinne w pszenicy, życie itd., co chwila narażały na szwank dobro rolnika, który czekał z niecierpliwością na zbiory, bo chleba brakowało w chacie i paszy dla bydła.

Niestety rezultaty dokonywanych zbiorów przedstawiają się, jak zresztą przewidywano słabo.

I tak zbiory pszenicy ozimej zapowiadają się na ogół według relacyi bardzo źle, gdyż w przecięciu nie można liczyć więcej jak około 5 q. ziarna z 1 morga.

Nieco lepiej przedstawiają się dokonane zbiory żyta (wiele ucierpiało podczas kwitnienia z powodu zimna), oceniają je w przecięciu na 6 i pół do 7 q. z 1 morga. Jare pszenice zapowiadają się również nieco lepiej od ozimych.

Zbiory jęczmienia i owsa nieszczególne. Zbiór jęczmienia obliczają w przecięciu na 6 i pół do 7 q. z 1 morga, a owsa na wzwyż 7 q., naturalnie tam, gdzie płody te klęskom zupełnym nie uległy.

Ku wschodowi plony stosunkowo lepiej się zapowiadają, niż w powiatach zachodnich. Wczesne oziminy nieco lepsze od późniejszych, ogółem rzadkie, słomy mało, podobnie jak i w jarych, które przeważnie nisko się trzymają.

Co do stanu ziemiopłodów na pniu to:

Ze strączkowych jedynie groch przedstawiał się na ogół słabiej, bób i wyka względnie dobrze. Hreczka na ogół prawie średnia. Ziemniaki zwłaszcza późniejsze z wyjątkiem okolic o glebach zbyt nieprzepuszczalnych poprawiły się, ogółem stan dobry. Buraki i kapusta przedstawiają się dość dobrze jak dotychczas. Natomiast stan chmielu pogorszył się i przedstawiał się ogółem średnio, a podobnie rzecz się miała z lnem (średnio) i konopiami (dość dobrze). Przyczem zaznaczyć należy, że wczesne lny okolicami zebrano.

Koniczyny stare na ogół rzadkie, stan mierny, nowe stan tylko dość dobry. Stan łąk w przecięciu gorszy jak średni. Liczyć się zatem znależy z faktem, że znowu brak paszy grozić zaczyna, tembardziej, że i zapasy słomy będą nie wielkie.

Ze szkodników grasuje niezmierka w pszenicy w zachodnich powiatach, lokalnie także śnieć, na jęczmionach i owsach miejscami rdza, na strączkowych czarne mszyce. Ziemniaki lokalnie w Wadowickiem dotknęła zgorzel korzeniowa. W ostatnich dniach przy sprzyjającej pogodzie żniwa w pełnym toku, tembardziej, że okolicami wszystko naraz prawie pod sierp doszło. Oby to co jest, zebrać dobrze zdołano.

Rolnictwo u obcych.

Ziemia w Holandyi.

Jeżeli kto narzeka, że ma takie pole lub grunt, który woda co roku potrochu zabiera, a rzeka unosi gdzieś w dalekie kraje; jeżeli się kto uskarża, że mu rzeka łąkę mułem zarzuca, lub też gdzieś na wybrzeżu nic nie rośnie, oprócz nędznej trawy, a na moczary, podczas mokrego lata, nie ma gdzie nawet wypędzić na wypas bydła — to niech posłucha o państwie Holandyi, kraju, co leży niedaleko Niemiec, a zobaczy, jak tam ludzie żyją i dają sobie rady. Kraj to, cały położony wśród takich bagnisk i trzęsawisk, że nawet straszno nogą stąpić, z mnóstwem rzek na wszystkie strony, a nawet i z takiej nędzy ludzie potrafili dobyć sobie ziemię i jeszcze taką, co daje bardzo dobry urodzaj.

Od państwa niemieckiego, aż do Północnego morza spuszcza się coraz niżej i niżej wielka płaszczyzna, gęsto poprzerywana rzekami i usiana jeziorami. Wszędzie moczary i kępy, że jak stąpić, to się wszystko trzęsie (dlatego kraj się ten nazywa „żywa ziemia“), wszędzie grunta torfowe — takie, co się podejmują w górę lub zapadają w błota; płaszczyzna ta —. to Holandya.

Historya mówi, że bardzo dawno, prawie 2 tysiące lat, wojsko rzymskie przechodząc przez ten kraj, musiało wykładać wzdłuż całej Holandyi drogę dębowemi belkami, ponieważ inaczej torf, jak gąbka wciągnąłby ich wszystkich co do jednego; jeszcze nawet w naszych czasach ludzie znajdują to drzewo w moczarach na sążeń głębokości.

Cała Holandya — to torfowa nizina, tylko gdzieniegdzie się spotykają niewielkie pagórki, ale grunta torfowe nie wszędzie jednakowe: jedne

z nich, odwieczne, leżą głęboko pod ziemią i przez to mocno się uległy i są twarde jak kamień, — z tymi trudno dać sobie radę, nazywają się one dolnemi torfowiskami; drugie zaś wierzchnie, torfowe kępy — są miękkie, jak gąbka, które się trzęsą, niby żywe, kiedy wstąpić nogą na nie; żeby przeskoczyć z jednej kępy na drugą, trzeba się odpychać długim kijem, albo chodzić na długich drewnianych łyżwach.

Dawniej, kiedy następowała letnia posucha, zapalali torf, wierzchnią warstwę przepalali na popiół, a na nim siali hreczkę lub też co innego. Z czasem Holendrzy przestali czekać tej posuchy, a zaczęli robić tak: wykopią głęboki rów i ściągną do niego wodę z torfowiska; wówczas torf schnął przy pierwszej lepszej pogodzie, zaraz go więc palili i siano na nim hreczkę, a później zaś owies, żyto; urodzaje na takim gruncie były bardzo skromne, niewiekie, a oprócz tego włościanie musieli wiele też doświadczać niewygód. Dym z polowych torfowisk rozchodził się po całej okolicy, wdzierał się do chat, wygryzał ludziom oczy, nie dawał oddychać. Dym ten zanoszony był wiatrem, na setki, tysięcy mil. Ale to dawniej tak robili... Teraz torfu nie palą bez przeszkody, ponieważ zrozumieli, że to ich bogactwo; obecnie Holendrzy mają z niego paliwo, używają go zamiast cegły na podmurowanie, popiołem z torfu ulepszają pole, sadzą czyszczą metalowe rzeczy, dymem z torfu wędzą znane wszystkim holenderskie śledzie itd.

Jaką biedę mieli z tymi torfowiskami, widać z tego, iż czasem się zdarza, że wielkie kawałki tej torfowej ziemi przesuwały się z jednego miejsca na drugie. Pewnego razu, oderwała się cała wielka kępa i pływała sobie w morskiej zatoce razem z krowami i innemi zwierzętami domowemi, które się tam pasły. Woda ją podmyła, a wiatr oderwał od reszty gruntu i zapędził w drugi koniec zatoki. Włościanie, którzy mieszkali nad zatoką, łapali takie pływające grunta, krajali je na kawałki, wyciągali na ziemię i podsypywali niemi te grunta, gdzie była większa nizina; tym sposobem ten kawałek błotnistej ziemi, robił się trochę wyższym od błota na około.

Brzegi morskie Holandyi pokryte są zwałami piasku, które się nazywają ławice piaskowe, ale pod tymi piaskami, jak również w innem miejscu pod gliną, lub na dnie morskiem, podglebie stanowi — ten sam dolny torf. Woda zaś morska podmywa płytkie brzegi morskie, które wchłaniają w siebie to wszystko, co woda morska zawiera, między innemi morską sól. Dawniej nadbrzeżni mieszkańcy Holandyi palili torf i dobywali z niego sól. Obecnie zarzucili ten sposób, ponieważ daleko lepszą zaczęli przywozić — z Francyi i Hiszpanii.

Z tych kilku słów dostatecznie można sobie wyrobić pojęcie, jak trudną jest gospodarka rolna w takich warunkach. Ale na tem jeszcze nie koniec!

Bo chociaż można jeszcze zaradzić wyższym i niższym warstwom torfu, to z morzem, które ciągle zalewa nadbrzeżne ziemie, zdawałoby się, że nawet najcierpliwszy i najpracowitszy człowiek nie mógłby dać sobie rady. Ileż to razy fale morskie przerzucały się przez nadbrzeżne groble i zalewały całe wsie. Tysiąc lat temu naraz taka się wszczęła burza na morzu, że woda morska zalała cały nadbrzeżny kraj i zniszczyła 2.500 wiosek. Dwadzieścia lat potem znowu wyszła z brzegów rzeka Ren i tak zniszczyła okolicę, że pola nie można było uprawiać przez kilka lat. W r. 1170 moda morska zabrała jeden wielki półwysep, a w sto lat później wystąpiło z brzegów jedno jezioro i zalało kraj na kilka tysięcy mil wokoło; na tem miejscu powstała teraźniejsza zatoka Zuyderzee, to jest Południowe morze. Zdarzało się, że przez kilka lat fale morskie zalewały kraj nadbrzeźny i zatapiały setki tysięcy ludzi, gospodarstw, bydła; ginęły całe wsie, miasta. Nawet niedawno, bo ośmdziesiąt lat temu, woda morska zatopiła czterdzieści najbogatszych wsi, dziesięć tysięcy krów i tysiąc owiec. A to dlatego tak się zdarza, ponieważ brzegi Holandyi bardzo niskie, a nadmorska kraina w takiej dolinie, że niższa jest od morza, a morze jak garnek, który się gotuje i zbiega, przerzuca swe fale na brzegi i zalewa doliny.

Ktobykolwiek pomyślał, że w kraju, gdzie taka zła ziemia, ludzie żyją bardzo biednie, wprost w nędzy, zwłaszcza, że na cztery i pół miliona mieszkańców Holandyi — prawie połowa ma tych torfów i piasków nie więcej jak 2—3 mórg.

Tak nie jest!

Rolnictwo w Holandyi.

O Holendrach mówią, że to najzdolniejsi ludzie na świecie. Mając naturę spokojną, ale zawziętą, nie zawahali się nawet rozpocząć walki z samą przyrodą.

Naprzód obmyślili co i jak mają zrobić, a dzięki cierpliwości i wytrwałej pracy, dopięli swego i w krótkim czasie zaprzęgli przyrodę do jarzma; od tej chwili kraj ojczysty zrobił się dla nich jeszcze bardziej droższym i bogatszym.

Rolnictwo w Holandyi miało dwóch wrogów: jeden — to woda morska i rzeczna, która im zalewa pola, a drugi — ziemia, ten sam torf, zmieszany z wodą niby kasza. Zdawałoby się, że to wrogowie, z którymi wszelka walka byłaby bezcelowa, a jednak Holendrzy walczyli z nimi oddawna i zwyciężyli.

Wpierw będziemy mówili o torfie.

Pewien czas, jak mówiliśmy wyżej, Holendrzy palili go na popiół, podczas letnich upałów, wskutek czego ziemia mogła choć cokolwiek rodzić. Ale wkrótce zrozumieli, że taka gospodarka nic nie warta, ponieważ mogą zupełnie zniszczyć wierzchnie warstwy torfu; oprócz tego dla urodzaju na dwa lub trzy lata, za dużo go niszczyli, a torf dla nich, jak się o tem później przekonali, miał ogromne znaczenie.

Już 300 lat upływa, jak Holendrzy zaczęli się o to starać, by swe grunta bagniste przerobić na urodzajne, jednocześnie nie niszcząc torfu.

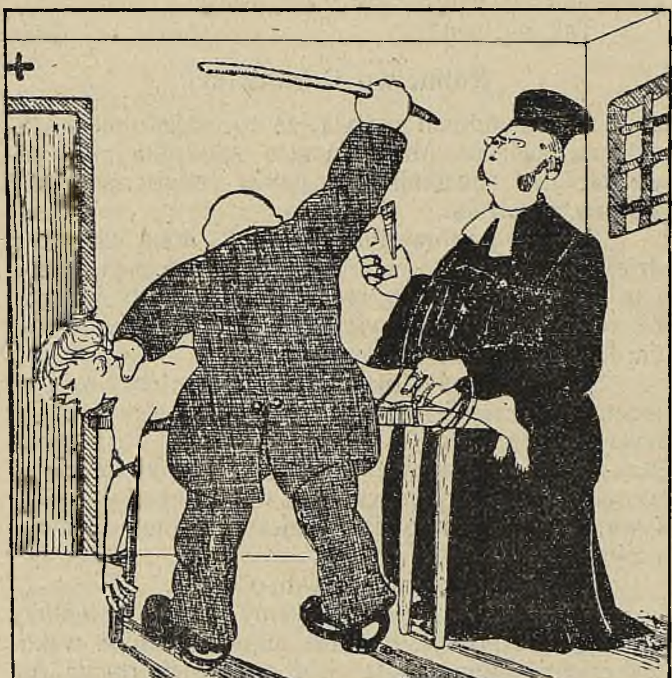
W tym celu zaczęli kopać, gdzie największe były niziny, już nie rowy, ale głębokie kanały, łącząc je z rzekami, do tych zaś kanałów, z boków, poprzeprowadzali moc rowów, które przerzynają torfowiska na wszystkie strony; woda więc ściekała do kanałów i rowów, a ziemia robiła się coraz bardziej sucha. Taki sposób osuszania gruntów nazywa się — jak wiadomo — drenowaniem.

Holendrzy nietylko prowadzą odporną, ale też i zaczepną walkę z morzem; co rok odbierają oni mu kawałek ziemi! Robią to w następujący sposób: wysypują daleko w morzu długie groble zawracając

je ku brzegom; wówczas woda w takiej zagrodzie wysycha potrochę lub też wiatraki i maszyny parowe wypompowują ją za brzeg nowo usypanej grobli, a później w tem miejscu zaczyna się uprawiać ziemię.

Obecnie holendrzy noszą się z zamiarem osuszenia zatoki morskiej Zyndersee. Już mówiliśmy o tem, że kilkaset lat temu, morze zalało tę ziemię na kilka tysięcy wiorst wokoło, i uczyniło w tem miejscu zatokę. Otóż inżynierowie holenderscy wypracowali projekt wydarcia dobrego kawału dna zatoce i uczynienia z niego pola urodzajnego. Według ich obliczeń każdy taki mórg, wydarty zatoce, kosztowałby akurat tyle, ile obecnie w Holandyi kosztuje mórg ziemi zdatnej do uprawy, ale za to zdobędą zupełnie nowe grunta. Wyliczono, że dzięki pilnej pracy Holendrów, w ich kraju co dzień przybywa po 3 morgi zdatnej do uprawy ziemi; wydobywają ją z pod torfowisk, moczarów, błot nadmorskich, jezior ogromnych, ściskając je i oprowadzając groblami.

Pedagogia pruska.



Jak chowają dzieci w Mielżynie. (Patrz: „Nasze ryciny").

Jeszcze 30 lat temu wyrachowano, że Holendrzy tylko własną pracą zdobyli więcej niż na $2^1/_2$ miliona koron ziemi polowej, która dziś daje już bardzo dobry urodzaj.

Jeżeli więc mówimy, że ojcowska ziemia droga, ponieważ przesiąknięta potem i krwią praojców, to tem większe prawo mają Holendrzy to zdanie do siebie zastosować, a nam, nic innego nie pozostaje, jak patrzeć na skutki ich pracy i zapamiętać, że nauką i pracą można najgorsze moczary i bagniska przemienić w pole urodzajne lub w bardzo dobre pastwisko.

A dla osiągnięcia tego trzeba mieć chęć szczerą do oświaty i trzeba pracować nie w rozsypkę na własną rękę, bez żadnego planu, ale mając przed oczyma jasno wytknięty cel, trzeba prosto iść do niego, trzymając się kupy, bo „gromada to wielki człowiek!"

Zapewne, że i w Holandyi są miejscami suche, glinkowate, dobre grunta; leży ona przeważnie nad morzem, lub rzekami; jest takiej ziemi w całym kraju około 2 miliony morgów, stanowi więc mniej niż połowę całej Holandyi.

Tam rozróżniają gospodarstwa na ziemi glinkowatej, pobrzeżne i na piaskach; wyżej na południe glinkowata ziemia z mułem morskim i rzecznym — bardzo urodzajna — z piaskami tylko trudno dać sobie radę. Na nadbrzeżnej ziemi wszędzie są bardzo dobre łąki, na których moc się pasa bydła, zwłaszcza krów.

Co się tyczy ziemi piaskowatej, to sto lat temu było tam bezludnie, i tylko z czasem, kiedy ludność się zwiększyła, a ziemi zabrakło, zaczęła się zaludniać. Żyli Holendrzy, i obecnie dość ich mieszka, w domkach ziemnych, bo ni drzewa, ni kamienia nie mają w pobliżu — bogatsi tylko gospodarze mają chaty drewniane z oborą.

Najwięcej Holendrzy trzymają owiec, ponieważ nie są wybredne co się tyczy paszy; mając w pobliżu liczne łąki, sprzedają dużo bydła. Cena ziemi w tej niedawnej pustyni, tak wysoka. że nawet w wielu krajach najurodzajniejsza tyle nie kosztuje. Pszenicy zupełnie nie sieją — najważniejsze zboże to żyto, sieją również rzepak, len, konopie, tytoń i sadzą wszędzie kartofle; ogrodowiznę i kwiaty na sprzedaż. Mają też dużo owocowych ogrodów, przeważnie rosną jabłonie, śliwki i wiśnie; wszystkie te owoce wysyłane są do Londynu.

W swojej gospodarce Holendrzy używają bardzo dużo kompostu. Żaden rolnik z innego kraju nie potrafi tak dobrze przemieszać gliny, piasku, błota, mułu rzecznego z innymi odpadami, jak to robią Holendrzy.

A cóż już mówić o tej opiece, jaką otacza holenderski rolnik swoje krowy, które są znane całemu światu. Ale za to jaki on ma dochód z nich! Tam nawet za człowieka bogatego uważają nie tego, kto ma dużo ziemi, jak u nas, ale tego, u kogo najwięcej krów. Kiedy spytać, jak jest zamożny ten gospodarz? to odpowiedzą: on ma 50, czy 60 lub 30 krów. (Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Nasze ryciny. Przed niedawnym czasem pisaliśmy o pedagogii pruskiej w zakładzie mielżyńskim w Prusiech. Jest to zakład poprawczy dla chłopców, kierowany przez luterskiego pastora. Jak wiadomo, Prusak ten uprawiał w zakładzie straszliwe katowanie dzieci. Sprawa ta stała się głośną i uczyniła pedagogię pruską jeszcze lepiej znaną w świecie, jak była po Wrześni. Rysunek nasz przedstawia właśnie scenę bicia której asystuje ów pastor luterański, pionier kultury pruskiej.

W Przeszowie na Węgrzech zdarzył się straszny, a rzadki wypadek. Do ołtarza stanęli państwo młodzi, aby wziąć ślub. Panna młoda zwyczajem miejscowym, miała w ręku świecę zapaloną. Przez nieostrożny ruch, świeca dotknęła się welonu z gazy, który ona miała na głowie i welon zapalił się. Natychmiast płomienie objęły całą lekką suknię i nieszczęśliwa panna doznała takich poparzeń, że w parę dni umarła. Zamiast do ślubu — do trumny!

Epidemie w kraju. Wedle ostatniego wykazu namiestnictwa panują epidemicznie:

Szkarlatyna oprócz Lwowa i okolic podlwowskich w gminach: pow. Bóbrka: Ruda, Brzozdowce, Bortniki, Hranki, Stare Sioło; pow. Brzeżany. Koniuchy; pow. Brzozów: Łubna i Zmiennica; Cieszanów: Dachnów; Czortków: Antonów; Dąbrowa: Nieczajna, Szczucin, Wola Szczucińska; Grybów: Bobowa; Jarosław: Adamówka, Majdan, Mołodycz; Jaworów; Wielkie Oczy i Kobylnica Wołoska; Kosów; Żabie; Krosno: Tylawa; Limanowa: Stopnice Szlacheckie; Lisko: Myczków, Lisko: Łańcut: Żołynia Wieś i Sarzyna; Myślenice: Naprawa; Pilzno; Łęki Dolne i Pilzno; Przemyśl: Cisowa, Krzeczkowa i Przemyśl; Rawa: Hujcze i Karów; Rzeszów, Głogów; Sambor: Słonicka Ruska; Sanok: Siemuszowa, Liszna; Stryj: Hurnie; Strzyżów; Nowa Wieś czudecka, Niewodna; Turka: Kosochacz; Wadowice: Izdebnik. Na tyfus plamisty zachorowało w czasie od 1 do 7 sierpnia 40 osób, a to w gminach: (pow. Bohorodczany) Babcze 2; pow. Buczacz; Międzygórze 3; Gródek: Stawczany 1 i Wiszenka 6; Horodenka; Targowica 2, Obertyn 1, Czortowiec 7, Niezwiska 2; Jarosław; Ostrów 1; Kałusz: Medynia 1; Kołomyja Gwoździec stary 3; Myślenice: Toporzysko 1; Podhajce: Hajworanka 2; Nowosiółka 2; Rawa: Potylicz 4; Stryj; Orawczyk 1; Tłumacz: Dolina 1. Tyfus brzuszny panuje epidemicznie w gminach: (powiat Bóbrka) Borodyczce; pow. Brody: Podkamień; Brzozów: Izdebki; Czortków: Czortków stary; Przemyśl: Nowosiółki; Śniatyn: Trójca i Borszczów; Stryj: Komarów.

Po 18 latach. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia r. 1891 w Zawiszni koło Sokala znaleziono w karczmie skrwawione zwłoki karczmarza Mojżesza Deutschera, jego żony i córki. Zarządzono śledztwo i aresztowano Eliasza Kokotkę, chałupnika z tej samej wsi. Jedynym dowodem przeciw niemu były plamy krwi na jego koszuli. Aresztowano też drugiego włościanina, z którym Kokotka pił krytycznego dnia. Rozprawa sądowa zakończyła się wyrokiem śmierci, lecz najwyższy trybunał uwzględnił zażalenie nieważności. Przy nowej rozprawie znalazł się świadek naoczny zbrodni w osobie żebraczki, która w tę noc spała w karczmie na przypiecku. Lecz staruszka była zdziecinniała, plątała się w zeznaniach; sędziowie wydali wyrok uniewinniający. Kokotka wyszedł wolny po półtora rocznem więzieniu śledczem.

Minęło 18 lat. Kokotka ma 50 lat. Niedawno żandarmerya w Zawiszni, szukając sprawców kradzieży leśnych, przedsięwzięła rewizyę także u Kokotki. Przy rewizyi znaleziono u niego srebrną łyżeczkę i notes zamordowanego w r. 1891 karczmarza. Kokotkę aresztowano. Śledztwo odbywa się w lwowskim sądzie karnym i jest już na ukończeniu. Prowadzi je sędzia śledczy p. Kuciński. Rozprawa przed przysięgłymi odbędzie się z początkiem września.

Kroćiowy hucuł. W Worochcie zmarł przed kilku dniami stary hucuł, Dmytro Moczerniak, licząc 80 i kilka lat życia, bogacz nad bogacze, właściciel wielu pastwisk, łąk i lasów. Na połoninach okolicznych wypasały się setki jego owiec i bydła, których liczby właściwej sam gazda nie znał i nie byłby się umiał doliczyć. Majątek zmarłego Moczerniaka oceniają na krocie tysięcy. Ile wynosił jego majątek, trudno właściwie oznaczyć ś. p. Moczerniak bowiem sam wartości jego nie znał, gotówkę zaś jaką posiadał po kasach i bankach w Delatynie, Nadwórnie, Stanisławowie i Kołomyi, w czasie pogłosek o grożącej wojnie z Serbią, wycofał i zapewne zakopał. Zmarły gazda był analfabetą, miał jednak rozgarnienie i rozsądek, które wystarczały mu do administrowania ogromnym stosunkowo majątkiem. Pomimo dostatków żył niezmiernie skromnie i oszczędnie był jednak niezwykle gościnnym i z chwilą, kiedy na progu jego pojawił się gość, otwierały się na przyjęcie jego bogate komory i dobrze zaopatrzone piwnice. Stary hucuł pił wówczas — niestety — z gościem swoim „na umor“, aż do utraty pamięci. Moczerniak pochował dwie żony, czując się jednak jeszcze krzepkim, nosił się z zamiarami małżeńskiemi. Niestety zgon, który prawie nagle go zaskoczył, nie pozwolił na urzeczywistnienie planów matrymonialnych. Majątek po bogatym gaździe dziedziczą dwaj jego synowie.

Kapłan amerykański w Warszawie. Dzienniki warszawskie donoszą, że przez kilka dni bawił tam X. Andrzej Spetz, Amerykanin, członek zakonu OO. Zmartwychwstańców, który w Stanach Zjednoczonych głównie działa wśród parafii polskich. X. Spetz jest kapłanem w Chicago, piastując godność kierownika finansów zakonu i wszystkich parafii polskich. Obcując wyłącznie z parafiami polskiemi, nauczył on się języka polskiego, którym mówi zupełnie płynnie. Kapłan chciał poznać tę ziemię polską, której wychodźcom oddaje posługi religijne, i umyślnie wybrał się w podróż do Polski. Najpierw zwiedził Galicyę, z której, jak twierdzi, ma najwięcej parafian. Był więc w Krakowie, w kilku miastach mniejszych, wreszcie po wsiach, gdzie badał życie ludu. Jest on zdania, że lud galicyjski jest najbardziej przywiązany do kraju, do którego wraca prawie zawsze, dorobiwszy się grosza. Mniej wrażliwi są na to Poznańczycy, którzy przeważnie pozostają w Ameryce. X. Spetz twierdzi, że Prusacy tak dokuczyli chłopu polskiemu, że ten z nowego świata wolności i sprawiedliwości nie chce wracać do państwa krzywd i bez-

Śmierć przed ołtarzem.



Od ślubu do trumny. (Patrz: „Nasze ryciny“).

prawia. Z Galicyi X. Spetz przybył do Królestwa Polskiego i zabawił dwa dni w Częstochowie. Świątynia Jasnogórska wywarła na niego silne wrażenie. Wie on o niej i jako kapłan katolicki z opowiadań swoich parafian, którzy z czcią i ze łzami w oczach wspominają na obczyźnie Częstochowę. Kapłan pragnie wznieść w Chicago lub gdzieindziej osobny kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, aby emigrantom polskim jeszcze żywiej przypominał ukochaną świątynię narodową. Chce on nawet strukturą gmachu naśladować w miniaturze kościół Jasnogórski. Z Warszawy X. Spetz wyjechał do Poznania, a po zwiedzeniu Poznańskiego powróci do Chicago.

Malec-bohater. W okolicach Kijowa, na Słobódce, wobec licznej gromady kąpiących się w Dnieprze, jakaś kobieta zaczęła tonąć. Jeden z obecnych rzucił się jej na pomoc, lecz po kilku minutach, straciwszy siły, sam coraz to głębiej pogrążał się w wodę. W tej właśnie chwili podjechał na łódce 10-letni chłopiec, schwycił tonącą kobietę, dopłynął z nią do najpłytszego miejsca, a następnie przy pomocy dorosłego mężczyzny doprowadził ją do brzegu — i dokonawszy tego czynu prędko się oddalił. Okazało się, że chłopczyk ten już kilku tonącym życie ocalił.

Zajście na dworcu pruskim. Do *Lecha* pisze jeden z czytelników: Byłem przypadkowo naocznym świadkiem zajścia, które wydarzyło się na dworcu w Barcinie. Czekałem na pociąg, który o 4·56 po południu jedzie do Inowrocławia; w tem zauważyłem kilka pań i kilku panów, którzy w poczekalni rozmawiali po polsku. Było także kilku kolonistów niemców, którzy jechali do Piechcina i których dźwięk polskiej mowy tak dalece raził, że zaczęli owe panie obrzucać jaknajgorszemi wyzwiskami i odgrażać się, żeby pamiętały, że się znajdują w Niemczech. W końcu przyszło do tego, że zaczęli panie czynnie znieważać, a nawet noże powyciągali. Wtenczas obecni w tej poczekalni stanęli energicznie w obronie owych pań i poskromili kolonistów.

Zapałki ze słomy. — Zaprowadzony obecnie w Niemczech nowy wysoki podatek od zapałek wywołał w przemyśle wyrabiającym ten artykuł ogólnego użytku wielki ruch na polu wynalazków. Między innemi powstała myśl wyrabiania zapałek o dwóch główkach, umieszczonych na obu końcach patyczków. Ponieważ atoli takie zapałki byłyby bardzo niebezpieczne, już ze względu na to, że nadpaloną z jednej strony zapałkę trzebaby dla zużycia drugiej główki znów wkładać do pudełka, co przy niezupełnem ugaszeniu patyczka mogłoby spowodować zapalenie się całej reszty zapałek, jedna z fabryk zamierza obecnie wyrabiać je nie z drzewa, lecz ze słomy i pewnych suszonych traw, ponieważ słoma łatwo i szybko wygasa po zdmuchnięciu płomienia. Podatek ten wywołał w ostatnim czasie prawdziwy „run“ na zapasy zapałek w Niemczech, ponieważ każda rodzina pragnęła zaopatrzyć się w największą ilość po dotychczasowej cenie, przed wejściem w życie nowego podatku.

Wpław przez kanał La Manche. Znany pływak Holbein, który już raz usiłował przepłynąć przez kanał La Manche, ponowił tę próbę. Aby łatwiej utrzymywać się na wodzie Holbein wymaścił całe ciało tłuszczem. Płynął systemem angielskim t. zw. „back stroke“, który pozwala lekko i szybko posuwać się naprzód, bez zbytnich wysiłków. Początek śmiałej podróży miał pomyślny przebieg. Holbein płynął już dwanaście godzin i znajdował się w odległości kilku mil morskich od celu. W drodze musiał kilkakrotnie walczyć z silnymi prądami które spędzały go z prostego kierunku. Niebawem zabrakło mu sił i musiał wezwać na pomoc towarzyszący mu parowiec. Wyciągnięto go na pokład, gdzie niebawem odzyskał siły. Nie traci nadziei, że przy następnej próbie uda mu się dotrzeć do Dowru.

Śnieg w lipcu. *Polak w Ameryce* donosi pod datą 30 lipca: Kapryśna pogoda przygotowała ludności stanu Nebraska niespodziankę. Mianowicie podczas burzy, jaka przeszła nad tamtejszą okolicą, spadł śnieg. Padał 10 minut, Śnieg w lipcu — tego nie pamiętają w Nebrasce najstarsi ludzie. Na drugi dzień panował straszliwy upał.

Raj zwierząt.

Jeden z dziennikarzy zwiedził niedawno słynny „raj zwierząt“ Hagenbecka w Hamburgu. Oto jego wrażenia:

I.

(W zaczarowanej krainie. — Pan Hagenbeck. — Słonie jedzą piasek. — Biała pantera. — Jak obiaduje wąż boa? — Krzyżowanie ras).

P. Hagenbeck jest właścicielem słynnego „zakładu handlowego dzikich zwierząt“ w Hamburgu. Do klientów swych liczy cesarza Austryi, który u niego zaopatruje zwierzyniec Schönbrunnu, sułtana tureckiego, mikada Japonii i kilku radżów indyjskich.

W piękny dzień czerwcowy wybieramy się na zwiedzenie tej nowej „wyspy doktora Moreau“. Hagenbeck rezyduje w okolicach Hamburga, w miejscowości zwanej Stellingen, pośród łąk i pól, skupowanych z cierpliwością systematyczną od lat wielu. Spacerem trwającym przeszło półtorej godziny, przebywszy przedmieścia Hamburga, docieramy wreszcie do zaczarowanej krainy pana Hagenbecka.

U granic państwa spotykamy odrazu świat niezwykły, egzotyczny. Witają nas ogromne bizuny, jedne łagodne niby duże woły, drugie zadumane, kiwające łbami, jakby przed jakąś niewidzialną ścianą. Dalej znów biegnie dromedar krokiem długim i szybkim; uwełnienie uderza o jego boki, podobne do rozprutego materaca, z drugiej strony przygląda się nam ciekawie struś, do połowy obrany z pierza, pretensyonalny i śmieszny, niby wiekowa ballerina, która zachowała jeszcze rutynę kokieteryi i zwiędłego uśmiechu. Przypatrzywszy się nam, wydaje okrzyk dziwaczny i z sympatycznem spojrzeniem zaczyna nam towarzyszyć w naszej wycieczce. Zdala dzikie konie ze stepów Tybetu i Mongolii pędzą na złamanie karku, z głowami dumnie wzniesionemi do góry.

Ukazują się budynki z czerwonej cegły. Przed bramą tłum cierpliwie czeka otwarcia bramy: urzędnicy, robotnicy, zwłaszcza zaś rzesze dziecianrni pod opieką matek, dziewczynki z lalkami na rękach lub w wózkach, wyglądającemi tak, jak gdyby i one były niezmiernie ciekawe dziwów Hagenbecka. Bo dziś właśnie niedziela — z miasta przybywają tłumy, by za 50 fenigów znaleść rozrywkę.

P. Hagenbeck już na nas czeka.

Człowiek ten, który spędza życie pośród lwów, tygrysów, niedźwiedzi, panter i wilków, niby pasterz w pośród owiec, jest miłym, uprzejmym i łagodnym. Przy swych 62 latach wygląda niemal młodzieńczo;

wdzięku dodaje mu zwłaszcza wesoły uśmiech, odsłaniający mleczno-białe zęby. Wąs ogolony i długa broda dają mu pozór Yankeesa w dobrym humorze.

Prowadzi nas wśród ogrodów i kwietnych gazonów u wejścia do parku. W pośrodku malowniczo rysuje się biała willa — rezydencya „króla zwierząt". Zbliżamy się do ogrodu zoologicznego. Duże trawniki, skały miniaturowe, wielkie ogrodzenia murowane; w głębi rotundy dla małp, galerye szklane, w których drzemią węże, klatki żelazne dla zwierząt drapieżnych, obszerna bażantaria za żywopłotem, aleje wysadzane żółtawymi, wspaniałymi goździkami indyjskimi.

Hindusi w różowych turbanach prowadzą stado słoni, które od czasu do czasu połykają piasek z alei.

— Doskonale — powiada pan Hagenbeck — to pomaga im do trawienia.

Rozpoczynamy szczegółowy przegląd menażeryi. Posiada ona 35 lwów somalijskich, 5 tygrysów z Syberyi i Jawy, ogółem zaś 90 dzikich bestyj: panter, lampartów, pum, hyen i niedźwiedzi. Przechodzimy obok klatek, w których znajdują się lwy i lwice. Zwierzęta witają Hagenbecka nader przyjaźnie. Jedna z lwic ociera się z kokieteryą pieszczotliwością o kratki, miauczy radośnie i wyciąga się, jak gdyby chciała widzieć nas jak najdłużej. Rozproszone między trawnikami, okratowane wozy i klaty drewniane, zapełnione są zwierzętami.

Zbliżamy się do klatki, stojącej zupełnie na uboczu: dochodzi nas krzyk ostry, dziki, przejmujący. Ukazuje się biała pantera, o spojrzeniu wrogiem, okrutnem, z przeraźliwie wyszczerzonymi zębami, z wyciągniętemi pazurami potężnych łap. Parska na nas gniewnie, z wyrazem szalonej wściekłości w oczach, o postawie naprężonej do skoku. Nigdy nie przypuszczałbym takiej furyi, nawet u dzikiego zwierzęcia, nawet w momencie najzajadlejszej walki.

— Myślę, że to najdziksze chyba ze zwierząt — objaśnia nas — przestając się uśmiechać p. Hagenbeck. Nazywają ją panterą śnieżną. Pochodzi z Syberyi, gdzie żyje na wysokościach 5000 do 6000 metrów, wytrzymuje najtęższe nawet mrozy. Gdy się człowiek zbliża do tych zwierząt, dostają one wprost szału. Nieraz dochodzi szal ten do takiego stopnia, że zdychają w bezsilnej wściekłości przed kratami swego więzienia.

Żywo zajmują go widocznie wielkie węże. W obecnej chwili posiada kilka pytonów z wyspy Borneo, odznaczających się przerażającym apetytem. Jepen znich mający 26 stóp długości i ważący 113 kilogramów trawi właśnie czarnego łabędzia, ważącego 8 kilo i sarnę syberyjską 73 funtową. Zdechły w nocy; pożarł je przed godziną. Pokazują go nam za grubem szkłem. Śpi właśnie trawiąc. Skóra tarkowata o błękitnych i złotych refleksach wzdęta jest nierównomiernie, jak worek nierówno wypełniony. Łabędź czarny i sarna, uwięzione w tym elastycznym futerale, ulegną strawieniu najwcześniej dopiero w piętnastu dniach. Inny pyton w sąsiedniej klatce pożarł capa, ważącego 27 funtów i 38 funtową kozę w ciągu dwóch nocy. Strawił je dopiero po 14 dniach.

— Na drugi dzień, powiada pan Hagenbeck, nie mógł prawie oddychać...

Inny w przeciągu 48 godzin zjadł cztery jagnięta z rogami, z kopytami, ze wszystkiem... Dziesiątego dnia zaczął na nowo...

Węże rosną bardzo szybko; w ciągu 16 miesięcy przybywa im metr długości.

— W jaki sposób, pytam się, węże, których łby są stosunkowo niewielkie, połykać mogą zwierzęta tak dużych rozmiarów?

Pan Hagenbeck tłómaczy:

— Kiedy wąż chce pożreć np. kozę, okręca się dokoła niej i splotami ściska ją tak długo, aż uczyni z niej rodzaj grubej kiełbasy. Wówczas szczęki jego rozszerzają się niby olbrzymie wole; wtedy poczyna łykać. Operacya ta trwa nieraz godziny.

„Przekonany jestem, dodaje Hagenbeck, z jowialnym uśmiechem, że połknąłby bez trudu rosłego mężczyznę".

Pytony na wolności są niebezpieczne z powodu swej straszliwej siły.

— Gdy zbliżą się do swego ługu (niewidzialne z pośród liści i konarów drzewa) zawieszają się końcem ogona na drzewie i wyczekując stosownej chwili, balansują powolnie. Nagle ruchem gwałtownym rzucają się na upatrzone zwierzę, okręcają się potężnym splotem około jego szyi i duszą ofiarę. Ale kiedy trawią, śpią, niezdolne są do jakiegokolwiek ruchu. Można je wtedy z łatwością zabijać.

Po drodze opowiada nam gospodarz o obyczajach zwierząt. Nie jest to pospolity handlarz zwierząt — raczej pełen entuzyazmu uczony. Próbował krzyżowań wszelkiego rodzaju. Okazy, które uzyskał ze skrzyżowania lwa gwiaździstego z tygrysicą, są potężne i silne, prawie dwa razy tak wielkie jak normalne. Podobny rezultat przyniosło krzyżowanie pantery i pumy; obecnie Hagenbeck zamierza spróbować krzyżowania lwicy z jaguarem paragwajskim. Próby te czyni wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości badacza, gdyż okazy w ten sposób uzyskane, są bezpłodne. Tylko zwierzęta jednego i tego samego gatunku, jak np. jeleń syberyjski i łania europejska przez krzyżowanie dochodzą do udoskonalenia rasy. Anglicy zakupywali u niego bażanty z Mongolii dla krzyżowania ich z własnymi, znacznie mniejszymi i uzyskiwali rezultat pomyślny. Rezultat krzyżowania, z którego Hagenbeck szczególnie jest dumny, to żebroida — potomstwo żebry i klaczy irlandzkiej, okaz wspaniały o sile dwóch dobrych koni i biegu znacznie szybszym. Żebroida mogłaby oddać znakomite usługi w koloniach. Hagenbeck posyłał konie mongolskie do instytutów zoologicznych w Hali i Londynie dla krzyżowania. Usiłował zaklimatyzować bobry w jeziorach niemieckich. Zyskaćby można w ten sposób nowe źródło dochodów.

Dotąd znany jest tylko jeden wypadek płodności słonia w niewoli: zdarzył się w Londynie. Ale w godzinę po wydaniu małych na świat matka je zabiła. Niedźwiedzie znoszą dobrze zarówno zimno jak i gorąco, wytrzymują tempetratury wyższe nawet niż płazy.

— Zrobiłem doświadczenie, ciągnął dalej, że strusie na wolnem powietrzu żyćby mogły w Niemczech północnych, i że wielbłądy z Baktryi zaklimatyzowaćby można w naszych stronach. Wogóle jestem zdania, że mnóstwo zwierząt mogłoby przynosić usługi ludziom, gdyby ci dobrze znali ich naturę i sposoby obchodzenia się z niemi. Spodziewać się można, że ludzie do tego dojdą — jeżeli nie będą się tak spieszyć z tępieniem zwierząt, stworzonych przez Boga.

5 BLIZNA.

(Ciąg dalszy).

I tak się też stało, aczkolwiek w mule nie znaleziono tego, czego się spodziewano: zwłok St. Clair'a. Natomiast leżał tam surdut jego. I, jak sądzisz, co znaleziono w kieszeniach?

— A cóżby miano znaleść?

— Nigdybyś nie zgadł. Wszytkie kieszenie były wypchane miedzianą monetą: było tam 421 pensów i 270 sztuk półpensowych. Nic dziwnego, że odpływ nie zabrał surduta ze sobą. Ale z ciałem ludzkim rzecz inna. Pomiędzy domem, a dokami tworzy się silny wir. Tym sposobem da się pomyśleć, że ciężki surdut pozostał, zaś nagie ciało popłynęło z biegiem rzeki.

— Zatem ciało było odziane tylko w surdut?

— Nie, tak nie było, ale fakta pozwalają objaśnić wszystko w zupełnie wiarygodny sposób. Przypuśćmy, że Boone wyrzucił St. Clair'a z okna tak, że nikt nie widział zbrodni. Co musiał teraz uczynić? Przedewszystkiem pozbyć się jak najprędzej sukien, które mogły zbrodnię zdradzić. Wziął się nasamprzód do surduta. W chwili, gdy miał go rzucać, przypomniał sobie, że lekka materya wypłynie na wierzch. Czas nagli, gdyż zdołu słychać już głos pani St. Clair, która chce dostać się na górę. Może zresztą gospodarz, a jego spólnik, z pewnością dał mu znak, że policya zbliża się. Niema chwili czasu do stracenia. Kaleka biegnie do kąta, gdzie składał użebrane pieniądze i ile miedziaków ma pod ręką, wpycha w kieszenie, aby surdut poszedł na dno. Wyrzuca go i zrobiły to samo z resztą ubrania, gdyby nie posłyszał kroków, tak, że pozostało mu zaledwie dość czasu do zamknięcia okna.

— To nie wygląda niemożliwie.

— Oprzyjmy się więc na razie na tych danych, dopóki nie znajdzie się coś lepszego. Zatem Boone, jak ci już powiedziałem, został ujęty i zaprowadzony na strażnicę policyjną, lecz nie można było dojść, czy przeciw niemu nie przemawiał dawniej jakiś inny fakt. Znany był oddawna, jako zawodowy żebrak, lecz poza tem prowadził, jak się zdawało, życie spokojne i nienaganne, Tak sprawa przedstawia się obecnie. Pytania jakie zachodzą, są następujące:

1) Co Neville St. Clair robił w tej norze?
2) Co się tam z nim stało?
3) Gdzie się teraz znajduje?
4) Jaki udział w tem jego zniknięciu ma Hugo Boone?

— Do odpowiedzi na te pytania jeszcze daleko. Muszę się przyznać, że w całej mej praktyce nie zdarzył mi się jeszcze ani jeden przypadek, tak prosty na pierwszy rzut oka, a tak zawiły, gdy mu się przyjrzeć bliżej.

Podczas gdy Holmes wykładał mi tak szczegółowo zawikłaną sprawę, przejechaliśmy koło ostatnich domków przedmiejskich i wózek nasz toczył się wśród trawników. W chwili, gdy skończył, wjechaliśmy między dwie rozrzucone wioski; z paru okien błyszczało jeszcze światło.

— Zbliżamy się do Lee — przerwał Holmes milczenie. — W naszej krótkiej podróży przebyliśmy ni mniej ni więcej tylko 3 hrabstwa. W Middlesex wsiedliśmy na wózek, przebyliśmy Surrey i kończymy drogę teraz w hrabstwie Kent. Czy widzisz światło, które błyszczy tam pomiędzy drzewami? To dom „Pod cedrami“; przy tej lampie czuwa kobieta, której trwożne ucho z pewnością pochwyciło już tentent naszego konia.

— Dlaczego jednak nie prowadzisz tej sprawy jak zwykle, z Bakerstreet?

— Bo tutaj trzeba zasięgać ustawicznie informacyj. Pani St. Clair była tak uprzejmą i odstąpiła mi dwa pokoje. Możesz być przekonany, że serdecznie powita mego przyjaciela i kolegę. Przykro mi strasznie, że muszę stanąć przed nią bez wiadomości o mężu. Oto tutaj. Prr!

Stanęliśmy przed wielką willą otoczoną ogrodami. Podbiegł chłopak stajenny i przytrzymał konia. Wysiedliśmy i poszedłem za Holmesem wązką, wijącą się ścieżyną, która prowadziła do domu. Gdyśmy się zbliżyli, drzwi się otwarły i w progu stanęła nizka kobieta, blondynka, ubrana w lekką suknię jedwabną, ozdobioną u szyi i rękawów koronkami. Postać jej odcinała się wyraźnie od smugi światła, wypływającej z otwartych drzwi. Gdy stała tak, z ciałem lekko podanem naprzód, z jedną ręką na klamce a drugą wzniesioną do góry, z oczyma, w których malowała się trwożna ciekawość, wyglądała jak żywy znak zapytania.

— I cóż? — zawołała.

Spostrzegłszy, że w ciemności podchodzą do niej dwie postacie, krzyknęła zlekka, lecz okrzyk ten rozwiał się w westchnieniu, gdy mój towarzysz szybko potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

— Dobrych wiadomości nie przynosisz pan żadnych — spytała wreszcie.

— Wogóle żadnych niema.

— A więc i złych także?

— Niema.

— Chwała Bogu i zato. Niechże panowie wejdą. Pan, panie Holmes, musisz być strudzony po dniu takiej pracy.

— Pozwoli pani przedstawić sobie mego przyjaciela, dra Watsona. Nieraz już mi był pomocnym w podobnych sprawach, a szczęśliwy przypadek zrządził, że udało mi się sprowadzić go i zapoznać ze sprawą, o którą idzie.

— Bardzo mi miło poznać pana — zwróciła się kobieta do mnie, ściskając mnie serdecznie za rękę. — Przepraszam z góry, jeżeli porządek domowy pozostawi coś do życzenia. Wiesz już pan zapewne, jak straszny cios dotknął nas tak niespodziewanie!

— Jestem starym żołnierzem, proszę pani, a gdybym nim nawet nie był, to uważałbym to za rzecz zupełnie prostą, która nie potrzebuje wytłomaczenia. W każdym razie byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby mi się udało w czemkolwiek przysłużyć się pani i memu przyjacielowi.

Przeszliśmy do pokoju, gdzie czekała zimna kolacya.

— A teraz — zwróciła się pani St. Clair do mego przyjaciela — teraz chciałabym zapytać się pana o coś otwarcie, prosząc o taką samą odpowiedź.

— Bardzo chętnie. Proszę.

— Niech pan nie zważa zupełnie, że jestem kobietą. Nie jestem histeryczką, nie mam też skłonności do omdlenia. Idzie mi o to, aby poznać, co pan myśli o tem wszystkiem.

— O czem?
— Czy jesteś pan przekonany, że mój mąż jeszcze żyje?
Pytanie to zaskoczyło nieco Holmesa, jak mi się zdawało.
— Otwarcie! — powtórzyła, wstając i zwracając się ku fotelowi, na którym siedział Holmes.
— Ha, skoro tak mamy mówić, rzekł Holmes — to sądzę, że nie żyje.
— Czy pan sądzi, że go zabili?
— Tak myślę. Ale nie jestem jeszcze pewien Być może.
— A kiedy go zabito?
Mówiła z dziwnym spokojem. Powoli.
— W poniedziałek.
— W takim razie może będzie pan tak łaskaw wyjaśnić mi, jakim sposobem mogłam dzisiaj otrzymać od niego list?
Holmes skoczył z fotelu, jakgdyby go tchnęła iskra elektryczna.
— Co! — krzyknął.
— Tak jest. Dzisiaj dostałam list. Proszę.
I wyciągnęła do Holmesa kartkę papieru.
— Czy mogę to przeczytać? — spytał.
— Naturalnie.
Holmes porwał list, wygładził go na stole, przysunął lampę i obejrzał go jak najstaraniej. Ja również powstałem, patrząc mu ciekawie przez ramię. Koperta była z grubego papieru i miała na sobie stempel pocztowy z Gravesend z datą dnia dzisiejszego, lub raczej wczorajszego, gdyż północ już dawno minęła.
— Pismo niewyrobione — mruknął Holmes.— To z pewnością nie jest pismo męża pani.
— Nie, ale list pochodzi od niego.
— Widać też zaraz, że ten, kto pisał adres, musiał się wprzód o niego wypytać.
— Skądże pan to wie?
— Nazwisko, jak pani widzi, jest zupełnie czarne, albowiem atrament wysychał zupełnie i do końca. Natomiast reszta jeszcze szarawa, dowód, że atrament wyciągano bibułą. Gdyby wszystko było pisane razem, jednem cięgiem i dopiero przyłożone bibułą, to jedna część nie mogłaby być tak czarną. Napisano więc zrazu nazwisko, potem nastąpiła przerwa, podczas której piszący dowiadywał się o adres. Widocznie go nie znał dobrze. Jest to, co prawda drobnostka, nic jednak nie jest tak ważne, jak drobnostki. A teraz przyjrzyjmy się samemu listowi. Oho, tam było coś we środku.
— Tak jest. Był pierścień z pieczęcią.
— I jesteś pani przekonana, że to pismo twego męża.
— Tak. Jedno z jego pism.
— Jedno z jego pism?
— Tak pisał, gdy się spieszył. Pisał zupełnie inaczej, niż zwykle. Wiem jednak, że to on pisał, znam to pismo dokładnie.
Na papierze znajdowały się następujące słowa:
— Najdroższa, nie obawiaj się. Jeszcze się wszystko naprawi. Zaszła wielka omyłka, która jednak wkrótce musi się wyjaśnić. Miej tylko cierpliwość. — *Neville.*
— Pisane ołówkiem na kartce, wyrwanej z przed tytułu jakiejś książki *in octavo* — mruczał dalej Holmes. — Hm.... dzisiaj wrzucone do skrzynki pocztowej w Gravesend przez jakiegoś człowieka, który miał brudne palce. Hm... Kopertę, jeżeli się nie mylę, zaklejał ktoś, kto lubi żuć tytoń. Ale pani niema najmniejszej wątpliwości co do tego, że to pismo pochodzi z ręki męża pani?
— Najzupełniej. To pisał Neville.
— I ten list dzisiaj wrzucono w Gravesend. Istotnie, chmury się rozchodzą, lecz nie mogę jeszcze powiedzieć, iż niebezpieczeństwo minęło zupełnie.
— Ale chyba żyje? — spytała kobieta.
— Zapewne. Chyba, żeby to był niesłychanie przebiegły wykręt w celu naprowadzenia nas na fałszywą drogę. Przebiegły, bo taki łatwy do przejrzenia. Co do pierścienia, to nie ma on żadnego znaczenia. Mogli mu zabrać po prostu.
— Ale pismo jest jego, z największą pewnością.
— Przypuśćmy, że tak jest. Ale list mógł być pisany w poniedziałek i dopiero później nadany na pocztę.
— I to możliwe.
— A gdyby tak było, to tymczasem mogło zajść niejedno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Rola" powinna znaleść się w każdym domu rolnika! Rozszerzajmy „Rolę"!

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 17 sierpnia (wtorek) 1909).

Targi wiedeński i peszteński wykazują w ostatnich dniach tendencyę zwyżkową, co jednak na giełdzie naszej dotąd nie odbiło się zupełnie.

Dzisiejszy targ, jak zwykle z początkiem tygodnia wykazywał obroty nieznaczne przy dość dużem zaofiarowaniu towaru. Ceny z nieznacznemi zmianami utrzymały się na tej samej wysokości.

Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., czerwoną od 13·40—13·70 kor., żyto 9·90—10·50 kor., żyto targowe od 9·00—9·50 koron, jęczmień 0·00 do 0·00, owies na paszę 00·00 do 00·00 kor., nowy węgierski 9·10 do 9·25 kor., kukurudzę starą 00·00 do 00·00 koron, nową 9·20—9·35 koron, kukurudzę Cinquantino 10·30—10·60 kor., groch zwyczajny 12·00 do 13·00 kor., groch Victoria 14·00—16·00, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 13·80—14·30 kor., otręby pszenne 6·50—6·70, otręby żytnie 6·50—6·60, koniczyna nasienna czerwona 00·00—000·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 17 siepnia b. r. spędzono na targ bydła rogatego sztuk: 177, cieląt 180, owiec i kóz 0, nierogacizny 191. Razem 548 zwierząt. Płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi: buhaje od 00·00 do 00·00 kor., woły 00·00 — 76·00 kor., krowy 00·00—00·00 jałownik 00·00—00·00 kor., cielęta 00·00—00·00 k., nierogaciznę tuczną 00·00 — 120·00 kor., bitej wagi: nierogaciznę 157·00—716·00 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: woły z paszy 103·00—290·00 k.,

krowy 70·00—160·00 kor., buhajki i jałówki 70·00—160·00 kor., cielęta 27·00 — 66·00 kor., owce i kozy 00·00—00·00 kor., buhaje 90·00—170·00 kor. — Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 480, na konsumcyę innych gmin kraju 68, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 00·—, na eksport za granicę kraju nierogacizny 00. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

F. Pamm
Kraków, Zielona 3-6

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.